

Porywająca opowieść pełna zapachów,
kolorów i tajemnic Prowansji

Latarnia

A photograph of a lavender field with a stone house in the background. The lavender plants are in full bloom, creating a vibrant purple sea. A dirt path winds through the center of the field, leading towards a small, rustic stone house with a dark roof. The sky is a clear, bright blue.

DEBORAH
LAWRENSEN

PROLOG

Niektóre zapachy pojawiają się i znikają niczym smak skórki z cytryny albo ulotna miętowa nuta. Inne przywodzą na myśl osobliwy syreni śpiew, kuszące wezwanie ukrytych w lesie fiołków lub zroszonych wiosennym deszczem irysów. Niektóre budzą na wpeł zapomniane wspomnienia. Są również te wyrażające prawdy o ludziach i miejscach, których nigdy nie zapomnimy: to zapachy sprawiające, że czas staje w miejscu.

Tym właśnie są dla mnie Lavande de Nuit, perfumy Marthe. Wyczuwalne pod silną wonią heliotropu, łagodne nuty migdałów i głogu, niosą ze sobą wspomnienia obrazów i dźwięków, smaków i uczuć: lawendowych pól, obsypanych cukrem ciasteczek, dzikich kwiatów rosnących na łąkach, wiatru szepczącego w koronach drzew, mieniących się srebrem drzewek oliwnych, ogrodu o północy i słodkiego, piżmowego zapachu tajemnic.

Te perfumy to esencja mojego życia. Kiedy je czuję, znowu mam dziesięć lat i leżę na trawie w Les Génévriers, w jeden z tych wczesnych letnich dni, kiedy pierwsze południowe wiatry ogrzewają ziemię, a powietrze pachnie obietnicą. Mam dwadzieścia lat, odrzucam włosy za ramię i wniebowzięta spieszę na spotkanie z kochankiem. Mam trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Jestem

przerażoną sześćdziesięciolatką...

Jak to możliwe, że boję się zapachu?

1

Nadmorskie skały płoną czerwienią. Są jak nagrzane ciepłem dnia, rozżarzone węgle, które ktoś porzucił pod naszym balkonem w Hôtel Marie.

Daleko w dole, na smaganym zimnym, porywistym wiatrem południu kraju, zapada zmrok. Jest niczym kleista ciecz: powolny, ciężki i cichy. Kiedy przyjechalśmy tu po raz pierwszy, parne, duszne powietrze sprawiało, że nie mogłam zasnąć; noc zamykała się nad moją głową niczym wieko grobowca.

Teraz, w ciągu nielicznych godzin snu, śnię o tym, co zostawiliśmy za sobą: wiosce na wzgórzu i szepczących drzewach. Budzę się z uczuciem niepokoju i wracam myślami do tego, co się wydarzyło.

Nie dowiesz się, jak to jest być z człowiekiem, który zrobił coś strasznego, dopóki cię to nie spotka. Kiedy nie wiesz, czy to, co najgorsze, dawno już za tobą, czy może wciąż przed tobą. Kiedy tak bardzo chcesz mu zaufać.

* * *

Nie możemy opuścić Francji, więc z braku lepszego zajęcia wciąż tkwimy w tym miejscu. Kiedy tu przyjechalśmy, była pełnia lata.

W migoczącym świetle eleganckie białe jachty zostawiały ślady na powierzchni błękitnej wody, a lśniące od olejków ciała prażyły się na złocistym niczym miód piasku. Organizowane na wybrzeżu festiwale jazzowe wypełniały powietrze zawodzącym synkopowaniem. Wówczas nie zwracaliśmy uwagi na upływające dni.

W miarę jak sezonowi sybaryci wyjechali, szukając lepszego miejsca na wrześniowy wypoczynek, albo wrócili do pracy, dzięki której stać ich było na wakacje w pełnym słońcu, my zostaliśmy. W wytwornej niegdyś willi z okresu belle époque, zbudowanej na skalistym wzniesieniu wokół przylądka nad zatoką Cassis, zawarliśmy tymczasowy kompromis. Z upływem czasu pani Jozan przestała pytać, czy zamierzamy zostać tydzień dłużej w jej podupadłym pensjonacie. Z pewnością da nam do zrozumienia, gdy nasza obecność zacznie jej przeszkadzać.

Jemy kolację w restauracji na plaży, choć nikt nie wie, jak długo jeszcze będzie otwarta. W ciągu ostatnich kilku wieczorów byliśmy jedynymi gośćmi.

Prawie nie rozmawiamy. W milczeniu sączymy wino i skubimy oliwki. Rozmowa jest zbyteczna; wyjątkiem są zdawkowe, uprzejme odpowiedzi na pytania kelnera.

Mimo to Dom próbuje.

— Byłaś dziś na spacerze? — pyta.

— Jak zawsze.

— Dokąd poszłaś?

— Na wzgórze.

Spaceruję rano, choć bywają dni, że wracam dopiero po południu.

* * *

Kładziemy się spać wcześniej, by w snach odwiedzać rozmaite miejsca. Miejsca, które nie są tym, czym mogłyby się wydawać. Tego ranka, dryfując na granicy snu i jawy, znalazłam się w

nakrytej kopułą zrujnowanej szklarni. Gdziekolwiek spojrzełam, widziałam zmatowione szkło, grożące wypadnięciem strzaskane szyby i przeżarty rdzą powykęcany metalowy szkielet. Wróciłam do Les Génévriers, choć w tej posiadłości nie było podobnych budowli.

We śnie naprawiałam wygięte żelazne półki, bezskutecznie próbując wyprostować skorodowany metal. Wysoko nad głową słyszałam złowróżbny chrzęst szkła. Przez pęknięte szyby widziałam nierówne fałdy wzgórz. Jak zawsze stanowiły tło, zupełnie jak w rzeczywistości.

Za dnia staram się nie myśleć o domu, ogrodzie i tym, co zostawiliśmy za sobą. Oznacza to, że mój mózg musi podstępem rozprawić się z dręczącymi mnie wspomnieniami. Fakt, że się staram, nie znaczy, że mi się to udaje. Bywają dni, kiedy myślę wyłącznie o tym, co utraciliśmy. Równie dobrze mogłabym myśleć o miejscu położonym w zupełnie innym kraju, a nie o posiadłości znajdującej się zaledwie kilka godzin drogi stąd, na północ od miejsca, w którym obecnie przebywamy.

* * *

Les Génévriers. Nazwa majątku jest zwodnicza, zwłaszcza że w posiadłości znajduje się tylko jeden płożący jałowiec; w dodatku nie jest on na tyle okazały, by zdobyć takie uznanie. Pewnie z tym również łączy się jakaś historia. Tyle różnych opowieści krąży o tym miejscu.

Wystarczy wejść na wzgórze i odwiedzić pobliską wioskę, by przekonać się, że każdy z jej mieszkańców słyszał opowieści o Les Génévriers. Powtarzają je tu na pocztce, w barze, restauracji, a nawet w miejscowym domu kultury. Szelest tamtejszych drzew był muzyką ich dzieciństwa, magicznym szeptem, który ochładzał nawet najbardziej upalne popołudnia. Piwnice majątku słyęły

niegdyś z *vin de noix*, słodkiego likieru orzechowego. Później posiadłość została zamknięta, niczym pogrążony we śnie baśniowy zamek, i tylko nieliczni zapuszczali się do środka, podczas gdy w biurze notarialnym w Awinionie trwały spory o to, do kogo należy majątek. Miejscowi kupcy trzymali się z daleka, natomiast zagraniczni licytanci przyjeżdżali, oglądali i wyjeżdżali.

Les Genévriers to coś więcej niż dom; to trzypiętrowa wiejska posiadłość z niewielkim budynkiem gospodarczym, dziedzińcem, chatkami robotników, małym kamiennym domkiem dla gości po drugiej stronie ścieżki i różnymi innymi zabudowaniami, która w pełni zasługuje na miano *un hameau*, małej wioski.

— Panuje tu specyficzna atmosfera — oznajmił agent, kiedy w majowy poranek po raz pierwszy zobaczyliśmy to miejsce. Obsypane kwieciami rozmarynowe żywopłoty wypełniały powietrze gryzącym zapachem. Za nimi ciągnęła się obsadzona cyprysami aleja, której koniec ginął w polu lawendy. Nad wszystkim dominowały widoczne w oddali faliste, błękitne wzgórza Grand Luberon.

— Na terenie posiadłości znajdują się źródła.

To miało sens. Rosnące nieopodal głównej bramy trzy potężne platan-y świadczyły o tym, że w pobliżu znajduje się źródło wody. Gdyby nie ona, nie wyrosłyby takie silne i wysokie.

Dom wziął mnie za rękę.

Wyobrażaliśmy sobie, jak potoczy się nasze wspólne wymarzone życie pośród wysypanych żwirem ścieżek, pod cieniem rozłożystych dębów, sosen i figowców, między starannie przyciętymi krzewami i kamiennymi murami, z widokiem na rozległą dolinę i położoną na wzgórzu wioskę, nad którą górował średniowieczny zamek. Patrzyliśmy na krzesła i stoły, przy których będziemy czytać, sączyć zimne drinki albo raczyć się opowieściami z poprzedniego życia, popadając w stan absolutnego zadowolenia.

— I co państwo o tym myślą? — spytał agent.

Dom posłał mi przelotne spojrzenie.

— Sam nie wiem — skłamał.

2

Bénédicte snuje się po pokojach niższych pięter wśród znajomych, wiekowych zapachów: bukietów lawendy ukrytych w szufladach, pachnącej drewnem masywnej sosnowej szafy, zalegających w kominkach zimnych popiołów. Dziś jednak zapachy te mieszają się z głęboką, ciężką wonią wilgoci, która niczym ławice chmur unosi się nad wyłożoną płytkami podłogą i ostrymi, białymi zapachami kwitnących na zewnątrz późnowiosennych kwiatów.

Goście są nowi. Bénédicte jest pewna, że nigdy wcześniej ich nie widziała; mimo to uparcie zamyka oczy i próbuje zebrać myśli, liczy oddechy i szuka w pamięci, aby upewnić się, że się nie myli. Kiedy otwiera oczy, wciąż tam są.

Najdziwniejsze jest to, że choć na nią patrzą, gdy rozglądają się, patrzą w każdy kąt, zerkają na popękane sufity i widoczne w ścianach szczeliny, zdają się nie zauważać jej obecności. W domu panuje cisza, jeśli nie liczyć szmeru rosnącej na dziedzińcu katalpy i skrzywienia okiennicy, przez którą wpada do środka rozedrgana smuga światła.

Posiedzę tu jeszcze chwilę, myśli Bénédicte. Zobaczę, co zrobią.

Oddychaj. Oddychaj głęboko.

3

Posiadłość od razu wpadła nam w oko. Wprawdzie nie była to gwałtowna miłość od pierwszego wejrzenia, raczej głęboka, pełna tajemnic fascynacja; jakby dom czekał na nas, a my na niego. Wydawał się znajomy, dzięki czemu czułam się tak jak wówczas, gdy po raz pierwszy spotkałam Dominica: lekkomyślność została stłumiona przez okraszone pięknem, nagłe uczucie empatii.

Spotkanie Doma było najbardziej niesamowitą rzeczą, jaka wydarzyła się w moim życiu. Klasycznym, szalonym romanssem. Fakt, że niedługo potem postanowiłam się z nim związać, był najodważniejszym, najbardziej pochopnym i wzbogacającym życie wyborem, jakiego dokonałam. Rodzina i przyjaciele zastanawiali się, czy nie straciłam głowy i — przyznaję — mieli rację. Straciłam głowę, serce, umysł i ciało. Pragnęłam go, a on — o dziwo — pragnął mnie.

* * *

Dom i ja spotkaliśmy się w labiryncie.

Nad brzegiem Jeziora Genewskiego. W pewien sobotni poranek siedziałam w barze kawowym i przeglądałam magazyn, kiedy natknęłam się na fotografię zamku w Yvoire. Już sam jego opis

brzmiał zachęcająco, jednak nazwa labiryntu ogrodowego miała w sobie pewien nieodparty urok. Był to Labirynt Pięciu Zmysłów.

Według kelnerki zamek był oddalony od miasta o mniej więcej dwadzieścia minut, po francuskiej stronie granicy. Jeśli chciałam, mogłam wynająć taksówkę albo pojechać autobusem. Moje plany na weekend ograniczały się do siedzenia w pozbawionym charakteru genewskim hotelu, gdzie odgłosy ulicznego ruchu nie pozwalały mi zasnąć, przez co zmęczona czekałam na poniedziałek i kolejne nudne spotkania.

Tak więc pojechałam.

Ivoire było uroczym, malowniczym miejscem. Z wąskich alejek strzelały w niebo złote wieżyczki, w których odbijały się nieśmiałe promienie zimowego słońca. Sam zamek, zadziwiająco mały i skromny, zdawał się wyrastać z dna jeziora.

Przez jakiś czas przechadzałam się po labiryncie ze świadomością, że gdzieś w życiu popełniłam błąd i podążyłam niewłaściwą ścieżką. Moja tak zwana kariera utknęła w martwym punkcie, nieustannie przypominając mi o moich niedoskonałościach, dlatego między innymi przyjął pracę, dzięki której na krótko znalazłam się w Szwajcarii. W tamtym okresie moje życie towarzyskie przedstawiało sobą smutny widok, niczym zaśmiecona resztkami plaża po opadnięciu wód przyptywu.

I nagle wszystko się zmieniło.

W alei grabowej, pośród zapachu wawrzynku, zobaczyłam Doma.

— Chyba się zgubiłem — oznajmił.

Mówił po francusku, jednak nie było wątpliwości, że jest Brytyjczykiem. Zdradził go okropny akcent i fakt, że w tych okolicznościach tylko Anglik mógł powiedzieć coś takiego.

— A ty? — spytał i oboje się roześmialiśmy, ponieważ osławiony labirynt był niczym więcej jak płataniną niskich żywopłotów, które łączyły ze sobą poszczególne części ogrodu.

Miał opaloną twarz, brązowe włosy, poprzetykane rudawozłotymi pasemkami, szczerzy uśmiech i okulary. Był wysoki, ale nie przesadnie. Zauważyłam go już wcześniej. On również był sam; trzymał się na uboczu, z daleka od innych zwiedzających, jakby chciał jasno dać do zrozumienia, że nie przyszedł tu z kobietą ani z rodziną. Zaintrygowała mnie pewność siebie, z jaką przechadzał się po ogrodzie, lekki, stanowczy krok jak u sportowca. Obojętnym wzrokiem przyglądał się widocznym na tle jeziora murom i ogrodom. Co jakiś czas przystawał na chwilę, podziwiał malowniczą scenę i ruszał dalej. Podczas gdy inni turyści prześcigali się w robieniu zdjęć, pozując i łączywie uwieczniając każdy widok, on rozglądał się i kontynuował zwiedzanie.

Początkowo szliśmy w tym samym kierunku, prowadząc ożywioną rozmowę na temat labiryntów, i ani się obejrzeliśmy, gdy spacerowaliśmy ramię w ramię tą samą ścieżką. Minęliśmy Ogród Dźwięku, gdzie Dom niespodziewanie zaczął mówić o Debussym, i Ogród Zapachu, gdzie mroźne powietrze przesycone było wonią narcyzów. Ogrody Koloru i Dotyku skłoniły nas do rozmowy o synestezji i zgodnie doszliśmy do wniosku, że piątki są pomarańczowe, lśniące i gładkie. W Ogrodzie Smaku zatrzymaliśmy się.

— Podobno jest tu mnóstwo jadalnych roślin — rzekł Dom, zerkając na ulotkę.

— Może spróbujesz tej ozdobnej kapusty — odparłam.

— Brzmi kusząco, ale nie, dziękuję.

Niebawem opuściliśmy zamkowe ogrody i weszliśmy do przytulnej, ciepłej kafejki, gdzie wypiliśmy kawę i zjedliśmy ciasto. Nie przestając rozmawiać, zamówiliśmy kolejną kawę. Wszystko wydawało się takie proste. Rozmowa, którą rozpoczęliśmy tamtego dnia, przedłużała się i połączyła nas na kolejne godziny, dni i miesiące.

Wtedy nad jeziorem mogłam wybrać którąkolwiek z labiryntowych ścieżek i nigdy byśmy się nie spotkali. Mogłam pojechać taksówką, a nie autobusem, przyjechać godzinę wcześniej i minęlibyśmy się. Mogłam nie zdecydować się na poniedziałkowe spotkanie i spędzić samotny weekend w Genewie.

Nie należy jednak tak myśleć. Jest, jak jest, i można przejść obok tego obojętnie albo się z tym pogodzić.

* * *

Przyjechał na narty z przyjaciółmi, ale postanowił wyjechać kilka dni wcześniej. Zima była wyjątkowo ciepła i słoneczna, przez co śnieg na stokach zmienił się w błotnistą breję.

— Nie chciałeś zostać tak po prostu, dla towarzystwa, i spędzić wspólnie resztę urlopu? — spytałam przy pierwszej kawie. Teraz, kiedy zdjął okulary przeciwsłoneczne, widać było, że jest starszy, niż się tego spodziewałam; znacznie starszy ode mnie. W świetle stojącej na stoliku niskiej lampy zauważyłam, że ma cudowne szarozielone oczy. Była w nich mądrość i figlarność.

— W przeciwieństwie do nich nie traktuję tego w kategoriach urlopu.

— Jak to?

— Nie mam takiej pracy jak reszta moich znajomych i nie mam do kogo wracać. Nie bawi mnie siedzenie w domu, picie i patrzenie na topniejący śnieg.

— Rozumiem — odparłam, choć wcale go nie rozumiałam.

— Wolę słuchać muzyki — odparł, uprzedzając pytanie, które cisnęło mi się na usta. — A ty? — zapytał. — Co najbardziej lubisz robić?

— Uwielbiam czytać.

— Jakie książki lubisz?

Czasami można poznać człowieka po tym, w jaki sposób zadaje

pytania: uprzejmie, z autentyczną ciekawością, wyrażając zrozumienie dla tego, co za chwilę usłyszy, bez względu na to, czego to dotyczy. Trudno było odpowiedzieć na to pytanie, a jego prostota wydawała się równie zabójcza jak wąskie ostrze.

— Takie, które zmuszają mnie do myślenia i dzięki którym mogę trochę pomarzyć — odpowiedziałam w końcu, gdy zapanowała nad kłębiącymi się w mojej głowie setkami myśli. — Współczesną beletrystykę, niektórych klasyków, biografie, książki podróżnicze, od czasu do czasu poezję. Napisane pięknym językiem książki kucharskie...

Przyglądałam się jego twarzy.

— Nie pytaj, kto jest moim ulubionym autorem — dodałam pospiesznie, bojąc się, że mnie rozczaruje. — Nie znoszę tego pytania. Nie mam pojęcia, jak na nie odpowiedzieć, przez co ludzie myślą, że w ogóle nie czytam, mój gust się nie zmienia, a ja nie dokonuję żadnych nowych odkryć, co zupełnie mija się z prawdą.

Uśmiechnął się.

— Zgoda. Pod warunkiem że nie będziesz pytała o najlepszą książkę, jaką ostatnio czytałem.

Na tym właśnie polegała swoboda między nami.

— Nigdy — odparłam. — Za każdym razem, gdy odpowiadam na podobne pytania, patrzę na swojego rozmówcę i myślę o książce, która jego zdaniem byłaby idealna. Pewnie dlatego nie mogę wykrztusić słowa...

Oboje się roześmialiśmy i poczułam, jak pierwszy raz od bardzo dawna opada ze mnie napięcie.

* * *

— Jestem Amerykanką — odrzekłam, kiedy spytał mnie, skąd pochodzę.

— Naprawdę? Nie miałem pewności co do akcentu, ale nie

zgodłbym, że to amerykański.

— Można powiedzieć, że jestem hybrydą.

— To znaczy?

— Ojciec jest nowojorczykiem. Mama mówi, że pochodzi z Sussex, ale jej ojciec był Francuzem. Spotkali się i pobrali w Paryżu. Chodziłam do szkół we Francji i w Anglii, college kończyłam w Stanach, ale od lat mieszkam w Londynie.

— A teraz mieszkasz tu czy w Londynie?

— W Londynie. Przyjechałam tu na kilka dni do pracy.

— Czym się zajmujesz? — spytał.

— Jestem tłumaczką.

Nie nazwał mnie „miłośniczką słów” i oszczędził mi innych wyświechtanych komentarzy.

— Co tłumaczysz?

— Zwykle rzeczy. Głównie reklamy, broszury promocyjne, kontrakty.

Z trudem powstrzymałam się, by nie powiedzieć mu, jak bardzo nudziło mnie to wszystko: nafaszerowane kłamstwami teksty o zaletach produktów, brzydota życia w mieście, gorączkowe podróże metrem, przepychanki pochłoniętych pracą, pobladłych tłumów, brud, wyjące nocą syreny. Niewiele brakowało, jednak w porę ugryzłam się w język. Nie chciałam, żeby pomyślał, że jestem marudna i kapryśna. Zbyt często pocieszałam się w ten sposób, gdy przytłaczał mnie ciężar miejskiego życia. Ukończyłam studia zaledwie kilka lat temu, lecz miałam wrażenie, że dokonałam błędnego wyboru i wpadłam w pułapkę.

— A gdybyś nie tłumaczyła? — dopytywał się. Czyżby wyczuł rozczarowanie w moim głosie?

— Chcesz wiedzieć, co bym robiła, gdybym nie musiała pracować? — spytałam, przypominając mu, że pewne rzeczy wciąż wymagały wyjaśnienia.

— Gdybyś każdego dnia mogła robić to, na co masz ochotę.

— Oczywiście oprócz czytania. Chciałabym tłumaczyć książki, gdybym tylko dostała zlecenie. Znam fantastycznych francuskich pisarzy, takich jak Pierre Magnan albo Chloé Delaume, których nie tłumaczy się na angielski. Chciałabym spróbować i na swój sposób oddać im sprawiedliwość.

— Po części, pisząc ich książki od nowa?

— Cóż, nie możesz tego zrobić. Tłumaczenie musi być wierne oryginałowi, szczegółom i atmosferze wykreowanej przez autora. Ale masz trochę racji; tłumacząc książki, można wykazać się odrobiną inwencji i dzięki temu uzyskać pewną równowagę.

— A więc cenisz sobie wierność? — zapytał.

— Zawsze. To niezwykle ważne. — Dopiero po chwili dotarło do mnie, co miał na myśli i jak naiwnie zabrzmiało to, co powiedziałam, nawet jeśli było prawdą. — A ty? — spytałam ze śmiechem. — Chyba jesteś żonaty?

Spojrzał mi w oczy i powoli pokręcił głową.

— Nie.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

— Zobaczysz, kiedyś będziesz robiła to, co naprawdę kochasz — dodał, przerywając niezręczne milczenie. — Jesteś jeszcze młoda.

— Zawsze mogę pomarzyć.

— Takie rzeczy się zdarzają.

Niedowierzanie, które malowało się na mojej twarzy, musiało być aż nadto widoczne.

— Czemu nie? — spytał. — Mnie przydarzyło się coś takiego.

* * *

Dominic komponuje muzykę. Po college'u wraz z przyjacielem założył firmę geotechnologiczną, mając do dyspozycji jeden komputer i garść pomysłów. Liczył na zyski, dzięki którym będzie

mógł skupić się na tym, co kocha najbardziej — na muzyce. Przez kolejne dwadzieścia lat nie miał na nią czasu, jednak firma funkcjonowała lepiej, niż ktokolwiek mógł to przewidzieć. Kiedy ją sprzedali, tuż przed tym, zanim spadły zyski, Dom mógł mówić o wyjątkowym szczęściu albo przebiegłości, w zależności od punktu widzenia. Jak przez mgłę pamiętałam, że w rubryce biznesowej czytałam artykuł o jego firmie, ale nie było o niej na tyle głośno, żebym zapamiętała nazwę. Zresztą Dom wołał zaistnieć jako kompozytor niż facet, który zarobił mnóstwo pieniędzy.

W Les Génévriers godzinami przesiadywał w swoim pokoju. Na dziedzińcu rozbrzmiewały dźwięki nowego fortepianu, który kupił w Cavaillon. Tuż po nich następowały chwile wymownej ciszy, oznaczające, że zapisywał dźwięki na papierze, w komputerze, tworzył albo drzemał na sofie wśród miękkich poduszek.

Tamtego lata posiadłość rozrastała się niczym łącząca nas miłość i zrozumienie. Uzbrojeni w pęk średniowiecznych kluczy odkrywaliśmy nowe pokoje i ukryte pomieszczenia, o których istnieniu nie mieliśmy pojęcia.

Dobudowany na dziedzińcu kamienny budynek gospodarczy był pierwszą niespodzianką. Kiedy w końcu udało nam się go otworzyć (aby tego dokonać, potrzeba było siły, której zabrakło wykwalifikowanemu agentowi nieruchomości), odkryliśmy przestronne, jasne pomieszczenie o doskonałych proporcjach, z podłogą wyłożoną płytkami, pobielonymi ścianami i ogromnym kominkiem. Dom natychmiast oznajmił, że właśnie tu będzie komponował.

Pod pomieszczeniem odkryliśmy łuszczące się, niszczące drewniane drzwi, do których można było dojść od strony położonego na zboczu ogrodu. Wyłamując przestarzały zamek, spodziewaliśmy się znaleźć szopę z narzędziami. Zamiast tego natknęliśmy się na brukowaną sień prowadzącą do labiryntu

pieczar i romańskich piwnic. Otwierając szafę w jednej z opuszczonych, z grubsza odnowionych chat, znaleźliśmy wejście do suterenu.

W tych sekretnych miejscach znajdowały się porzucone przedmioty, które traktowaliśmy jako dary od domu: kiepski obraz przedstawiający skrzydłokwiat, motykę i wazon, zestaw kokilek ukryty w jednej z kuchennych szafek, para kaloszy, zardzewiała żelazna klatka dla ptaków z zepsutym uchwytem.

Pod sklepieniami sufitami półotwartych piwnic rozbrzmiewał śmiech Doma. Potężne kolumny i łukowate przejścia przywodziły na myśl ogromne żebra domu, pomiędzy którymi leżakowały butelki z winem, pokryte kurzem i zmatowione przez upływający czas. W kuchni, gdzie tradycyjne szafki zastąpiono starą szafą na ubrania, czekały na nas butelki korzennego wina Vacqueyras, którym wznieśliśmy toast za naszą terytorialną i uczuciową ekspansję.

Będąc na dworze, jako ludzie Północy, rozkoszowaliśmy się ciepłym błękitem nieba, wonią rozmarynu i tymianku. Wdychaliśmy zapachy przeszłości, spoglądaliśmy na siebie i uśmiechaliśmy się. Mieliśmy własny dom. I to jaki!